

# Klęska logistyczna

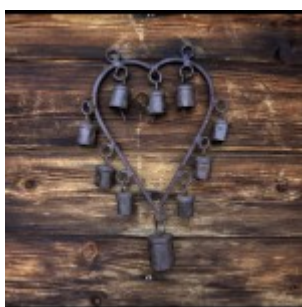
**Cel** – Alpy Berneńskie – niezdobyte

**Kiedy** – kwiecień/maj 2012

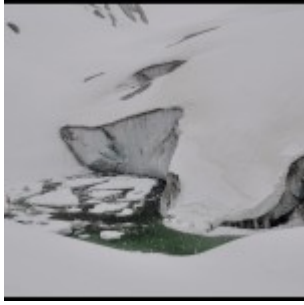
**Kto** – Dziku & Aga & Tomek

**Tekst** – Dziku

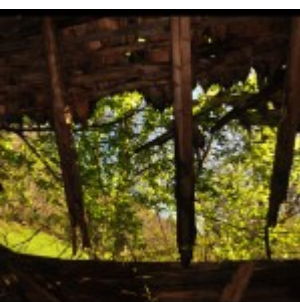
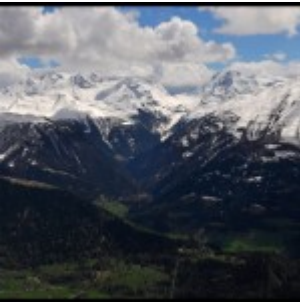
**Zdjęcia** – Dziku

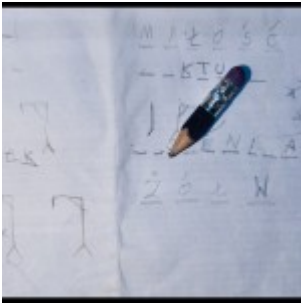












## 27 IV

Godzina 23-cia na niemieckiej autostradzie – jedziemy we troje przytuleni do szyb po stronie kierowcy. W ten sposób odciążamy prawą stronę Forda, gdzie w przednim kole mamy kaptcia. Normalnie powinniśmy to koło wymienić na zapasowe, lecz... to właśnie jest zapasowe koło.

Bylebyśmy dojechali do stacji benzynowej bez zniszczenia opony. Inaczej do rana czeka nas siedzenie w aucie i pomoc drogowa. A przecież zaledwie godzinę temu byliśmy w podobnej sytuacji i tylko dzięki Adze kontynuowaliśmy podróż.

Zacznijmy od początku – zawiodły po kolei:

1. Opona – klasyczna guma i zjazd na pobocze autostrady.
2. Klucz do kół – owinął się kilka razy wokół siebie i był bezużyteczny.
3. Ziemia – obróciła się tak, że było zupełnie ciemno i okoliczni mechanicy poszli spać.

Nie zawiodła natomiast Aga, która zabrała mi kamizelkę odblaskową i czołówkę i ustawiła się przy jezdni próbując zatrzymać pędzące przez noc samochody. O dziwo zanim przyjechała die Polizei zatrzymali się Polacy i pożyczyli nam klucz.

I tu kolejny punkt, który nas zaskoczył:

4. Koło zapasowe – nienapompowane.

I tak, przyciśnięci do szyby wypatrujemy przed sobą świateł stacji. Jest! Jesteśmy uratowani. Nie wiemy jeszcze, że będziemy się poruszać jak na przebitych oponach do końca tego

wyjazdu.

## **28 IV**

W Andermatt okazuje się, że dalej nie pojedziemy. Przełęcz Furka (2431 m. n.p.m.) jest zamknięta ze względu na zalegający po zimie śnieg. Na mojej mapie jest informacja, że trasa ta jest zamknięta do końca kwietnia (czyli jeszcze przez 2 dni!). Ale ja to przeoczyłem, bo myślałem tylko o tym, że w 4 dni wejdem na **6 czterotysięczników**. W głowie miałem już napisaną relację.

Zostawiamy samochód i o 13-tej wsiadamy w pociąg. Ten fragment podróży jest dla nas pocieszeniem, bo trwa w przepięknej alpejskiej scenerii, wśród skąpanych słońcem, ośnieżonych szczytów. Poza tym zdobywamy bilety w całkiem atrakcyjnej, promocyjnej cenie. Popołudniu wyruszamy z ciężkimi plecakami do góry. Tego dnia docieramy do chat przy nieczynnym wyciągu narciarskim. Nie wiem czy bardziej zmęczył mnie marsz, czy pracujący na pełnych obrotach procesor w głowie. Non stop przeliczam wysokości, czas i odległości. Wciąż widzę nas, jeśli nie na 6-ciu, to na pewno na **5-ciu czterotysięcznikach**.

## **29 IV**

Cały dzień leje. Leżąc w namiocie i dłubiąc słonecznik wyliczam, że będziemy musieli zadowolić się **4-ma czterotysięcznikami**.

## **30 IV**

Nie pada! Składamy namiot i pniemy się w górę. Mijamy kolejną stację narciarską i kolejkę na Eggishorn (2927 m n.p.m.). W tym miejscu spod śniegu wychodzą świstaki wielkości średniej wielkości psa. Ciekawe jak sobie te zwierzęta radzą przez zimę. Chyba im w tych śnieżnych tunelach dobrze bo wyglądają na nieźle spasio.

Około 12-tej mijamy przełęcz i zostawiając po lewej Eggishorn schodzimy do domku przy jeziorze. Spotykamy tu śmieszne kury.

Podczas gotowania obiadu (kur nie złapaliśmy) wynajdujemy patent, który będzie się sprawdzał w kolejnych latach:

1. Gotujemy parówki.
2. Gotujemy makaron wodzie po parówkach, zajadając je jako przystawkę.
3. Do wrzącego makaronu wsypujemy sos w proszku.
4. Wkrajamy do tego ser i kabanosy.
5. Dodajemy przypraw.
6. Mieszamy i zjadamy wszystko ze smakiem.

Doskonała potrawa dla 3 osób z wykorzystaniem zaledwie pół menażki stopionego sniegu.

O 14-tej wchodzimy na największy alpejski lodowiec. Ciągnie się i wije we mgle niczym wielka, lodowa rzeka. Zaczyna sypać gęsty śnieg, a my coraz bardziej się w nim zapadamy. Coraz bardziej mokrzy, późnym popołudniem decydujemy się rozbić namiot. Stawiamy go w miejscu, gdzie się zatrzymaliśmy. I tak wszędzie tak samo biało. Nie zdajemy sobie sprawy, że latem wygląda tu zupełnie inaczej. Gdy śnieg się wytopi pokazują się ukryte o tej porze roku szczeliny i znalezienie tu miejsca na namiot jest bardzo trudne. Układając wokół siebie i w śpiworze mokre ubrania i buty kładziemy się spać.

Myślę, że wejdziemy tylko na **3 czterotysięczniki**.

## **1 V**

Cały dzień sypie śnieg. Widoczność bardzo marna. Gramy w statki, w szubienicę lub odgadywanie wymyślonych słów. Gotujemy, trochę śpimy, lub po prostu leżymy bez ruchu. Po drugim dniu i w sumie 10-tej godzinie gapienia się na metkę z przekreśloną zapałką zaczynam się zastanawiać, czy to jest ok, że odpalamy w środku namiotu palniki gazowe. Przenoszę wzrok na ścianki sypialni. Znam już każdą kropkę i plamkę pleśni. Ppopołudniu zrozpaczeni uświadomiamy sobie, że skończył się słonecznik. Ołówek też jest już na wyczerpaniu. Nie poddajemy się – składamy namiot i próbujemy przedostać się



pod jeden ze szczytów. Po dwóch godzinach torowania z ciężkimi plecakami decydujemy się znów rozbić obóz.

Stąd mamy w zasięgu przynajmniej **2 czterotysięczne szczyty**.

## **2 V**

Całą noc sypie śnieg. Rano już wiemy, że mamy tylko jedną próbę. No trudno, niech chociaż **1 czterotysięcznik** uda się zdobyć. Po trzech godzinach torowania w śniegu do samych jajek poddajemy się. Z zaciętymi minami pakujemy się i o 14-tej zaczynamy morderczy marsz po lodowcu. Jeszcze tego samego dnia docieramy do miejsca, w którym możemy go opuścić. Mamy serdecznie dość maszerowania we wszechogarniającej bieli. Przypuszczam, że gdyby było trzeba to szlibyśmy nawet po ciemku byleby tylko zostawić za sobą lodowiec i skiturowców pytających w różnych językach „a wy gdzie zgubiliście narty?”. Rozbijamy namiot niedaleko chatki przy jeziorku.

## **3 V**

Rano wychodzimy z namiotu i... świeci słońce! Humory nam się poprawiają. Szczera się białe zęby na spalonych od słońca pyskach. No właśnie – to była dla nas nowość. Pomimo, że przez ostatnie parę dni nie widzieliśmy kawałka nieba zostaliśmy porządnie spieczeni. Jest nauczka na przyszłość, by na lodowcu smarować filtrem twarz nawet przy paskudnie pochmurnej pogodzie.

O 11-tej wchodzimy na przełęcz. Jeszcze niebezpieczny trawes na stoku Eggishorna, stacja kolejki, domki, las i – po 9-ciu godzinach marszu – jesteśmy w miasteczku Fiesch. Dochodząc do stacji widzimy stojący na peronie pociąg. Nie śpieszymy się, możemy pojechać kolejnym. Pociąg odjeżdża, a my dowiadujemy się, że to był ostatni tego dnia. To jest już dla nas za wiele. Idziemy do miasta szukać sklepu z winem.

Przed zmrokiem udajemy się do wypatrzonej pod lasem na wpół zawałonej chatki. Tam spędzamy noc.

## **4 V**

Rano mocno się wykosztowujemy na bilety powrotne (niestety promocja działała tylko w jedną stronę) i jedziemy do Andermatt. Na miejscu tradycyjnie kąpiel w publicznej, dworcowej umywalce i jedziemy ponad 1000 km do domu.

Ten wyjazd był jednym z najdroższych i teoretycznie jednym z najbardziej nieudanych alpejskich wypadów. Ale jak każdy wyjazd czegoś nas nauczył. Np. tego, że kwiecień i maj to nie najlepsza pora na wędrowkę z plecakiem po Alpach. Albo tego, że w tej samej wodzie można ugotować kilka składników. Ale przede wszystkim tego, z czego chyba dopiero później zdałem sobie sprawę – potwierdziła się tam pewna ważna sprawa. Otóż wiem, że z Agnieszką, Tomkiem i Pawłem (który tej logistycznej porażki uniknął) jestem w stanie dzielić nie tylko sukcesy, ale i porażki. Tworzymy doskonale zgraną ekipę, zachowującą dobry humor i niepodatną na konflikty nawet, gdy trzeba przez kilka dni leżeć bez ruchu na 3 metrach kwadratowych.

Dziku

– END –